

Sławomir Zatwardnicki: Słowo stało się perychorezą

Jeśli ktoś w ogóle jest człowiekiem, to On właśnie! Czujemy to pulsujące człowiecze życie w Chrystusie, a w Nim życie Syna, tak żywe że aż wymykające się, jak gdyby chciało się złapać rybę gołymi rękami



Kto chce dotknąć, zobaczyć, usłyszeć, posmakować, dowiedzieć się, jaki jest Bóg, niech adoruje Jezusa! *Homo religiosus* potrzebuje sieci pojęć, ale kiedy je zarzuca, niech uważa, by nie pozbawiły one Pana ludzkiej witalności – pisze w swym felietonie Sławomir Zatwardnicki

Oswajanie zdumienia Bogiem leżącym w żłóbku przybiera różne formy. W teologii może na przykład wyrazić się twierdzeniem, że Słowo przybrało ludzką naturę, którą posłużyło się jak narzędziem w procesie zbawienia człowieka. A przecież słowa te wywołać powinny osłupienie nie mniejsze niż widok Dziecięcia leżącego w obranych barłogach a równocześnie będącego tym samym Synem, który nie opuścił ślicznego nieba. Co to bowiem znaczy i jak bardzo obarczone ryzykiem zboczenia rozumu na manowce zdaje się przyrównanie człowieczeństwa Słowa do narzędzia!

Być może zresztą przyłapaliśmy *in flagranti* pewną tendencję: jeśli samoobjawienie się Boga zdumiewa na sposób „bezpośredni”, od razu, dzięki doksologicznemu uwielbieniu, które wzbudza, jednocząc człowieka z wychylającym się ku niemu Bogiem, to z kolei próby zrozumienia wiary zadziwiają „pośrednio”, skierowując umysł na drogi, które prowadzą ku coraz to kolejnym rozdrożom. Widać tajemnica „tak ma”, że poddana refleksji ukazuje swoją misteryjność *ad infinitum*. Iść tą drogą pewnie trzeba, pod warunkiem że jednocześnie nie opuszcza się w duchu ślicznego nieba adoracji.

Nie żeby słowo o Słowie-narzędziu niczego nie wyjaśniało, ale czyni to w sposób pokrętny, wzywający od razu do dopowiedzeń oraz niekończącego się przypominania, że w każdym podobieństwie jeszcze większe jawić się musi niepodobieństwo. Otóż Bóg nie jest jak człowiek, który posługuje się narzędziem w celu wykonania jakiejś robótki, po której odkłada go do pudełka wykonanego przez innego człowieka przy użyciu innego instrumentarium. To „narzędzie”, które zostało zjednoczone z samym Słowem Bożym, jest przecież człowiekiem, tak więc jest to „ludzkie narzędzie”. Rozum chowa się w

pudełku swojej ograniczoności, gdy słyszy to, czego nie jest w stanie dosłyszeć, i z pudełka wyczarowuje królika „narzędzia”. Nie ma jednak „pudełka”, do którego Syn miałby odłożyć to „narzędzie”, które był przyjął na własność, bo nie ma też innego Boga, który wykonałby to pudełko.

Pogubiony rozum chciałby uczynić skok w przód, i, skoro nie może zaprzeczyć człowieczeństwu narzędzia, dopowiedzieć że w takim razie Bóg posłużył się może „narzędziem osobowym”. Szkopuł jednak w tym, że nie ma dwóch osób, a są dwie natury: Boska odwiecznie, a teraz, od samego momentu poczęcia, również ludzka, obie w jednym Synu. Dlatego nigdy nie było takiego czasu, żeby istniał jakiś człowiek Jezus, w którego Ojciec „włożyłby” Syna jak narzędzie w pudełko. Zresztą, nawet gdyby Syn mógł być schizofrenikiem (Osoba Boska i osoba ludzka), czemu dowody ontologiczne wydają się przeczyć, i tak nie godziłoby się Mu traktować nie tylko człowieka, ale i siebie instrumentalnie. Nie wyznajemy w *Credo*, że Bóg jest narzędziem zbawienia człowieka, lecz że dla nas i dla naszego zbawienia stał się człowiekiem.

Jeśli jest więc ludzka natura Chrystusa „żywym narzędziem”, to nie osobą. Nie osobą, a jednak człowiekiem. Dla nas tym trudniej przyjąć tę Dobrą Nowinę – a Dobra Nowina nigdy nie jest prosta, bo zawsze jest tajemnicą! – że kiedy mówi się „osoba”, *homo psychologicus* słyszy „osobowość”. Wydaje się nam zatem, że brak ludzkiej osoby we Wcielonym skutkować musi wybrakowaną do cna osobowością. Wystarczy jednak sięgnąć po Ewangelię, żeby zobaczyć człowieka z krwi, kości oraz osobowości. Jeśli ktoś w ogóle jest człowiekiem, to On

właśnie! Czujemy to pulsujące człowiecze życie w Chrystusie, a w Nim życie Syna, tak żywe że aż wymykające się, jak gdyby chciało się złapać rybę gołymi rękami.

Ojcowie Soboru w Chalcedonie (V wiek), kiedy próbowali wyrazić tajemnicę Słowa wcielonego, posłużyli się pojęciami „natury” i „osoby”. Według patrystycznego rozumienia wolność i świadomość wiązać należało nie z osobą, ale z połączeniem osoby z rozumną naturą. Jeśli natura oznaczała wspólną wszystkim ludziom istotę, to z kolei osoba, można tak powiedzieć, realizowała „po swojemu”, a nie „po innemu” tę wspólną naturę. W ten sposób ludzka wolność i świadomość Słowa wcielonego zostają zabezpieczone, a zarazem tłumaczy się, dlaczego psycholog próbujący badać osobowość Chrystusa pozostaje z pustą siecią w ręku.

A jednak kto chce dotknąć, zobaczyć, usłyszeć, posmakować, dowiedzieć się, jaki jest Bóg, niech adoruje Jezusa! *Homo religiosus* potrzebuje sieci pojęć, ale kiedy je zarzuca, niech uważa, by nie pozbawiły one Pana ludzkiej witalności. A przy okazji narzędzia pojęciowe zdradzają stosunek człowieka do samego siebie. Chyba tylko ktoś, kto nie przeżył do głębi misterium Słowa ucłowieczonego, może widzieć w człowieczeństwie narzędzie, niechby i żywe. Właśnie Wcielony ukazuje, że Osoba Syna Bożego, przenikając rzeczywistość ludzką do samego cna, nie niszczy jej i nie zmienia, a zarazem pozwala jej żyć swoim życiem. Z tego punktu słyszenia inaczej brzmi wezwanie Pana skierowane do uczniów, którzy dopiero, gdy mają w nienawiści samych siebie, stają się godni Jego. Jedynie bowiem ten, kto żyje Nim, a nie sobą, staje się w pełni „swojskim” sobą, bo przestaje być obcym dla Boga, który w nim zamieszkuje.

Słowo „narzędzie” pojawiło się w słowniku człowieka dopiero po jego upadku. Zbawiciel posłużył się człowieczeństwem nie jak narzędziem, ale zgodnie z odwiecznym Bożym planem Bosko-ludzkiego współprzenikania. Kiedy Słowo stało się ciałem, stała się „perychoreza”.

Sławomir Zatwardnicki